Nr. 263. Lwów — Piątek dnia 16 Listopada. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna; Kwartalna „ 3· | Roczna
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Otmara Op. — Joannyka
Jutro: św. Salomei — Hałaktiona

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 16, Zachód „ 4 „ 14

Długość dnia g. 8 m. 58, Ubyło dnia od wczoraj 2 m

Przegląd polityczny.

Lwów 15 listopada.

Bismark powraca! — oto okrzyk, którym w Berlinie charakteryzują znaczenie ostatnich zmian ministeryalnych. Powraca nie osobiście, bo i za stary jest, aby mógł ślęczeć nad wszystkimi aktami i duma nie pozwala mu być na każde zawołanie. Ale powraca jego wpływ, kierunek i kurs. Będzie on tedy jakby nadkanclerzem, protektorem księcia Hohenlohe'go, który przedstawiwszy się dworom królów i książąt niemieckich i zdawszy sprawy namiestnictwa alzacko-lotaryńskiego, pojedzie do Bismarka po exequatur, a uczyni to z pozwoleniem cesarza. Stało się tedy to, co zapowiadał ten pierwszy kanclerz zaraz po otrzymaniu dymisyi: „Król mnie jeszcze zobaczy!“ Minęło od tej chwili prawie pięć lat, w ciągu których ostra krytyka wszystkich czynów rządowych, ciągłe podjudzanie przeciw Capriviemu i ustawiczne przyjmowanie hołdowniczych tłumów służyło Bismarkowi do pokazania, że bez niego rządzić spokojnie nie można. Cokolwiekbądź zamierzył cesarz: czy zmienić ustawy szkolne, czy marynarkę powiększyć, czy Polakom okazać jakąś względność, czy traktaty zawrzeć: — zawsze zjawiała się przed nim bądź liberalna, bądź junkierska przeszkoda, która przypominała mu słowa: „król mnie jeszcze zobaczy!“ Więc, aby zażegnać tę mściwą marę, cesarz pojechał do Friedrichsruh, potem posłał gniewnemu pustelnikowi ową sławną butelkę wina, potem uroczyście przyjął go w Berlinie, ale to wszystko nie pomogło. Wprawdzie ustały kryte sztychy, wymierzone przedtem w samego monarchę, ale jak rzekł Bismark, odjeżdżając z gościny u cesarza: „krytyki nie zaniecham“ — tak święcie słowa dotrzymał. Caprivi był ciągle intruzem, nieukiem, fanfaronem — i jak tam go jeszcze nazywały eks-kanclerskie dzienniki! Trzeba dodać, że istotnie w rządzie berlińskim nie widać było silnej woli: zaczęto coś w Poznańskiem i zaniechano; spróbowano zmienić zasady szkolnictwa ludowego i wnet się przestraszono krzyków liberalnych; zniesiono ustawy przeciw socyalistom i potem zamierzono powrócić do nich; na ministrów brano ludzi z różnych obozów i kazano im wspólnie ciągnąć wóz państwowy, a choć każdy z nich głosił, że jest tylko wykonawcą woli cesarskiej, jednak mimowoli ciągnął w inną stronę. Słowem, wszystko, co się działo w tych czterech latach i ośmiu miesiącach, robiło wrażenie prób. Zagraniczną politykę prowadził Caprivi zręcznie, złagodził antagonizmy, przyczynił się do utrwalenia wiary w pokój; byłby może równie szczęśliwie poprowadził sprawy wewnętrzne, gdyby miał taką swobodę akcyi, jak jego poprzednik. Ile on zawinił, a ile ci, którzy za nim byli, i ci bismarkowcy, którzy zawzięli się mu szkodzić, a czynili to z nadzwyczajną bezwzględnością — o tem sąd wyda dopiero historya. Dziś jasnem jest tylko jedno, że bismarkowski „Bund“ agrarny, jeszcze niedawno skarcony tak surowo przez cesarza, nagle tryumfuje. Dobrze jest, że usłuchano go w tem, w czem on ma słuszność, mianowicie, że postanowiono wejrzeć w położenie ziemiaństwa; ale czy dobrze tak odrazu przerzucić się z jednej ostateczności w drugą i przyznać się, że tak zwany „nowy kurs“ był błędem, a przyznać się jeno po to, aby wrócić do bismarkowskiego? Takie skoki nie mogą natchnąć ludności zaufaniem do rządu, do jego rozumu i świadomości, owszem, wywołują ironiczne uwagi, które do tego rządu przystają jak komiczne łatki. Szukają teraz w Berlinie, kogoby zrobić ministrem rolnictwa. „*Ach, was!*“ — zawołał pewien dygnitarz — *Landwirthschaftsminister? Wir brauchen Abwirthschaftsminister!*“ Inny dowcipniś z wielkiego świata, kiedy przy nim mówiono o nietrwałości urzędu ministra, zauważył: „*Procul a Jove, procul a fulmine*“ — i to wyraźnie powtarzają wszyscy w Berlinie jako trafną charakterystykę faktu, że mężowie polityczni czują potrzebę być dalej od Jowisza jego błyskawic. *Germania* pisze o tem: „Najbardziej niepewnem stanowiskiem stał się dziś urząd pruskiego ministra. On się kładnie spać z przekonaniem, że otrzymał nowy dowód zaufania, a z rana odbiera rozkaz podania się do dymisyi. Składa mu wizytę „czarny człowiek“ — i wszystko skończone.“ Czarnym zaś człowiekiem przezwano w Berlinie szefa cywilnego gabinetu cesarskiego pana v. Lucanusa, który rozwozi ministrom zaproszenie do dymisyi.

„Sic volo, sic jubeo“ — stało się odrazu dewizą cesarza Wilhelma. To mogło wielu ludziom się nie podobać, ale niezaprzeczenie znalazło także wielu zwolenników, którzy żartowali z przypuszczenia, iż może wrócić despotyzm, natomiast z zadowolnieniem wyglądali stałości kierunku rządowego. Bo najgorzej jest, gdy nie wiadomo, do czego się stosować. Ta dewiza znalazła jeszcze później bardzo dobitny komentarz w wyrażeniu: „Regis voluntas suprema lex“. Wyglądało to już naprawdę despotycznie, ale ludzie i z tem się godzili, byle w państwie rzeczywiście była jakaś stała wola. Bismark przysłuchiwał się tym hasłem i paląc fajkę na długim cybuchu, ironicznie mrużył oczy. Wiedział, że ta wola, choć najwyższa, musi jednak w końcu zastosować się do niego — i w tem się nie omylił.

Oto podaliśmy wierny obraz usposobienia, panującego teraz w Berlinie. Ale czy naprawdę po licznych zboczeniach w różne strony wracają teraz do Niemiec bismarkowskie czasy, na to nie ma wyraźnych dowodów. Nadchodzi — jak się zdaje — peryod rządów, przychylnych dla interesów rolniczych, ale to nie oznacza powrotu do „starego kursu“, bo przecież Bismark żył najserdeczniej z liberałami. Wprawdzie potrafił on w porę przyczepić swą sprawę do sprawy agrarczyków, tem jej pomógł, ale i sobie, to jednak nie znaczy, że cały teraźniejszy zwrot w rządowym kierunku jest pochyleniem głowy przed Bismarkiem. Jedzie do niego ks. Hohenlohe po radę — niech po wskazówki, niech nawet po łaskę rozgniewanego Jowisza — ale może to oportunizm, może dowód uznania ze strony dawnego współpracownika, może rozsądny zamiar poznania zapatrywań człowieka, bądź co bądź doświadczonego. Wszakże i Benigsen, wódz liberałów, jeździł do Bismarka kilka miesięcy temu, to jest właśnie wtedy, gdy ten „pustelnik“ z całą swą furyą rzucił się w wir agitacyi agrarnej, tak nieprzyjemnej i szkodliwej dla liberałów. Kładą nacisk na to, że cesarz pozwolił księciu Hohenlohemu jechać do Bismarka, ale właśnie, naszem zdaniem, gdyby nie pozwolił jechać, toby dopiero podniósł jego znaczenie nad miarę. Nam się zdaje, że po prostu zwrot rządowy ku interesom rolniczym pessymistycznie usposobił liberałów, którzy już rozczarowali się w Bismarku, i postępowców, z którymi on wiecznie wojował. Oni tedy, patrząc na swą przyszłość smutniej, niż warto, widzą wśród glory rolników głowę ich sojusznika — Bismarka.

Okólnik p. Giersa, rozesłany przedstawicielom Rosyi przy europejskich rządach, sprawił wszędzie wyborne wrażenie. Inaczej też być nie mogło, skoro jest on parafrazą manifestu, w którym powiedziano było, iż nowy car pragnie ze wszystkimi utrzymywać pokojowe stosunki. Rozesłanie tego okólnika przez p. Giersa dało wszystkim do zrozumienia, iż ten umiarkowany i nieskory do hazardów polityk pozostanie na swem stanowisku, co jest większą rękojmią pokojowych zamiarów rządu petersburskiego, niż zapewnienia, zawarte w okólniku. A właśnie pojawiła się była pogłoska, że ministrem spraw zagranicznych zostanie niebawem kijowski jeneralny gubernator hr. Ignatjew, który wprawdzie nigdy nie występował na międzynarodowej arenie, ale karyerę swą zawdzięcza bratu swemu, byłemu ambasadorowi w Turcyi, a dziś szefowi panslawistów i ich komitetu błagotworytielnego. Pada tedy na niego pewien refleks panslawistyczny, którego dyplomacya i giełda nie lubią. Więc głównie nie treść okólnika wprawiła wszystkich w dobry humor, ale to, że się nie zmieni kierownik rosyjskiej polityki.

Wspomniana wyżej pogłoska, utrzymująca się dotąd w Berlinie, zapowiada jeszcze, że ministrem wojny zostaje jakiś jenerał Bobrikow, a ministrem spraw wewnętrznych — senator Plehwe, obaj skłonni do reform. W ogóle coraz bardziej rozpowszechnia się w Europie przekonanie, że nowe panowanie będzie odmienne od poprzedniego pod względem traktowania praw boskich i ludzkich. Znaczące pod tym względem jest orędzie cara Mikołaja II, wystosowane do „narodu finlandzkiego“. Jak wiadomo, za rządów jego ojca rozpoczęło się systematyczne obcinanie odrębności finlandzkiej w imię „ściślejszego zjednoczenia“ tego kraju z Rosyą. Tymczasem Mikołaj II przyrzeka: „Religię i zasadnicze ustawy kraju, prawa i przywileje każdego stanu z osobna i wszystkich razem obywateli wielkiego księstwa, zgodnie z konstytucyą jego, potwierdzam i przyrzekam: wszystkie te przywileje i urządzenia konstytucyjne nienaruszalnie w sile i znaczeniu utrzymać.“

We wtorek, o 10ej z rana, — jak już z wczorajszych telegramów wiadomo — przywieziono zwłoki Aleksandra III do Petersburga. Podajemy tu krótki opis pochodu żałobnego przez miasto.

Na ulicach taka mgła, że o kilkanaście kroków trudno cokolwiek widzieć. Od dworca kolei moskiewskiej do twierdzy piotropawłoskiej stoją na trotuarach tłumy, które jeszcze w nocy zajęły te miejsca. Z dachów wisi niezliczone mnóstwo czarno-białych chorągwi. Balkony, gzemsy, słupy i pilastry udekorowane są czarnem suknem z białemi frendzlami. Środek ulicy grubo wysypano piaskiem i gałązkami choiny. O godzinie 9 wojsko stanęło szpalerem wzdłuż całej drogi po obu stronach ulicy. Za szpalerem oficerowie na koniach w ciągłym są ruchu; — obserwują oni publiczność. Boczne ulice zamknięto oddziałami policyjnymi, kazano zamknąć okna, sklepy i bramy. Przed każdą bramą postawiono stróża, którego — jak wiadomo — mianuje policya. Nikomu nie pozwolono być na obu mostach, przez które pochód pójdzie, ani na rzece w pobliżu tych mostów, ani na dachach, ani na balkonach. Wszyscy są pod nadzorem.

Rozległy się trzy wystrzały armatnie — to znak, że żałobny pociąg wjechał na dworzec. Prosty lud (on przewaźnie napełnia ulice) zdjął czapki i raz po raz się żegna. W pół godziny potem znowu trzy wystrzały; — to kondukt ruszył. Na czele konno mistrz ceremonii, potem jeden za drugim w pewnych odstępach jenerałowie w asystencyi kilku oficerów. Niosą oni: sztandar imperatorski, sztandar z herbem dynastyi, sztandar floty, sztandar wojenny (czerwony), sztandar pokojowy (biały) i jeszcze inne. Potem niosą tarcze z różnymi herbami, potem godła, ordery — po jednym na poduszce, a poduszek 86 — potem jabłko, berło, koronę carską i kilka królewskich, wreszcie szwadron kozaków. I znowu konno mistrz ceremonii, za nim pieszo spowiednik zmarłego z obrazem, potem długi szereg popów w ornatach srebrnych z czarnym, na końcu trzej metropolici. Za nimi niski rydwan z baldachimem, ciągniony przez ośm koni. Na baldachimie ogromna korona. Końce całunu trzymają jenerałowie, końce szarf — żołnierze. Paziowie idą po bokach. Za rydwanem — nowy car z jeneralnymi adjutantami, potem wielcy książęta, dalej kareta z carową, dwiema jej córkami i księżniczką Alicyą, następnie inne karety z wielkiemi księżnami i damami dworu. Wreszcie znowu szwadron kozaków.

Głucho odzywały się armaty co trzy minuty, głucho jęczały dzwony, lud przyklękał i żegnał się. I tak we mgle przesunął się ten orszak.

Udobruchany anarchista.

Starszy brat ściętego 20 maja r. b. Emila Henry'ego, Fortunat, temi dniami opuścił więzienie w Clairvaux, w którem przesiedział 2 lata. Sławne niegdyś, założone w r. 1115 przez Stego Bernarda opactwo Cystersów, zniesione w czasie wielkiej rewolucyi, obecnie jest centralnem więzieniem dla wschodnich departamentów. Przynajmniej dla pewnego rodzaju więźniów przepisy tego zakładu karnego są o wiele łagodniejsze, niż dawne reguły klasztorne. I tak n. p. znany naczelnik anarchistów kniaź Krapotkin, odsiadując karę w Clairvaux, pisywał rozprawy dla pism miesięcznych angielskich i codziennie otrzymywał wizytę żony, która zamieszkała w pobliżu. Także młody książę Orleański, odesłany z powodu znanej eskapady do Clairvaux, nie nudził się tam wcale, a nawet dla wiernych dworaków wydawał w więzieniu obiadki a la Lucullus.

Fortunat Henry wszedł do Clairvaux jako srogi anarchista. Ale ku wielkiemu zgorszeniu radykalnych reporterów, którzy go opadli przy bramie, opuścił je udobruchany. Bo też ten jego pobyt w Clairvaux wygląda raczej na miłą willegiaturę, niż na odsiedzenie kary. Razem ze znanym szewcem-literatem, a głównym teoretykiem anarchizmu Janem Gravém, Fortunat Henry mieszkał w dwóch przestronnych komnatach, ciepłych zimą, latem chłodnych. O pracy nie było mowy, chyba że mu przyszła ochota napisania listu. Wieczorem grał w karty, albo spoczywając wygodnie na łóżku czytał romans przy oświetleniu gazowem. Gdy rzecz była ciekawa, nie przerywał lektury aż do 2-giej lub 3 ciej godziny w nocy, zasypiając potem aż do obiadu. Na dessert śpiewał przy oknie piosenki anarchiczne, zbierając oklaski od przechodniów. Nużącą wprawdzie była jednostajność strawy, gdyż codziennie podawano pieczeń wołową. Ależ całkowitego szczęścia nie szukać na świecie. To też Henry pocieszał się po obiedzie grą w kręgle i powiedział sobie, że pozazdrościłoby mu takiego więzienia dużo ludzi wolnych.

Anarchistą niby to pozostał, ale zamyśla poprzestać na teoryi. Gdy go ciekawi reporterzy nagabują zbyt energicznie i usiłują wywabić go na słówko o propagandzie czynu, odsyła ich do historyi: „Ona powie ile się propaganda czynu przyczyniła do wyzwolenia ludzkości“. Zabójstwo Carnota nie sprawiło mu żadnej radości, „bo w każdym urzędniku tkwi człowiek“, a zapytany co do egzekucyi brata, poprzestaje na odpowiedzi: „Przyszłość go osądzi“. Roztropność i wstrzemięźliwość anarchisty wprawia reporterów radykalnych w rozpacz. Nalegają, usiłują w nim obudzić uśpionego rewolucyonistę, ale Henry wytrwale się opiera i nareszcie dobija ich, gdy jako człowiek, wyleczony z mrzonek i bomb, na pytanie co myśli począć, odpowiada: „Je veux assurer mon existence en pratiquant l'élevage des lapins“. (Mam zamiar zapewnić sobie byt, hodując króliki).

Piszą nam z Wiednia 14 listopada.

Pierwszy dolnorakuski zjazd katolicki, który się tutaj odbył wczoraj i przedwczoraj pod prezydencyą barona Wetinghoff-Schella (zięcia hr. Belorediego), zadał kłam wszelkim pesymistycznym obawom. Chrześcijańsko-socyalni uczestnicy nie usiłowali nadużyć go do demonstracyi przeciwko koalicyi i klubowi hr. Hohenwarta. Uchwalone rezolucye co do doczesnej władzy Ojca Świętego, szkoły, kwestyi socyalnej i t. d., są te same, które uchwalają wszystkie zjazdy katolickie. Mianowicie zjazd, uwzględniając znany list Ojca św., nie wezwał stronnictwa katolickiego w Radzie państwa, aby na teraz domagało się zmiany ustaw szkolnych, nie oświadczył się wręcz przeciwko regulacyi waluty, jak to czynią posłowie chrześcijańsko-socyalni w Radzie państwa i nie wystąpił z żądaniem powszechnego głosowania. W sekcyi dla spraw prasowych, poważny i wpływowy adwokat dr. Hasslwanter (Tyrolczyk) podniósł dobitnie konieczność, aby prasa katolicka uwzględniała zawsze życzenia biskupów, oświadczył się przeciwko sojuszowi konserwatystów katolickich na prowincyi z frakcyą chrześcijańsko-socyalną i zapewniał, że po za Wiedniem katolicy na koalicyę zapatrują się o wiele przychylniej, niż w Wiedniu. Jakkolwiek zatem tutaj i w ogóle w dolnej Austryi istnieje ścisły sojusz katolików konserwatywnych z stronnictwem socyalno-chrześcijańskiem, jednak wczorajszy zjazd katolicki nie wystąpił przeciwko koalicyi. Hałaśliwa więc opozycya ks. Liechtensteina, Luegera itd. w Radzie państwa nie może się nadal powoływać na opinię katolików dolnorakuskich.

Z Warszawy.

Donoszą do *Czasu* co następuje:

Więc tedy nareszcie wiemy z własnych ust naszego wielkorządzcy, że on uważa za niewłaściwe, aby znaczniejsza liczba wybitniejszych obywateli ziemskich i obywateli miasta Warszawy, których możnaby do pewnego stopnia uważać za przedstawicieli tego to kraju, udała się na pogrzeb cara Aleksandra IIIgo do Petersburga i przedstawiła się tam młodemu carowi Mikołajowi II. Ale warto też dowiedzieć się w jakiej formie jenerał Hurko tę swoją wolę objawił.

Otóż uprzedzony o tem, iż pewna liczba osób wybiera się z wspomnianym zamiarem i w myśli gremialnego wystąpienia do Petersburga, raczył p. naczelnik kraju udzielić im dziś posłuchania. (Nie dziwcie się, że wyrażam się tak, jak się zwykle tylko mówi o monarchach, ale p. generał-gubernator od pewnego czasu każe sobie oddawać honory monarsze). O godzinie 2 i pół po południu udało się znów około 30 osób do zamku. Głównokomenderujący wojsk warszawskiego okręgu wszedł do sali, posuwając się drobnemi kroczkami, wsparty na lasce, mając po jednej stronie zastępcę swego barona Medema, po drugiej adjutanta. Za nim niesiono krzesło, aby na wypadek, gdyby go siły opuściły, mógł spocząć.

Gdy mu w kilku słowach oznajmiono, znany mu zresztą zamiar, generał Hurko głosem podniesionym, niemal w tym tonie, w jakim się przemawia do gefrejtrów, lub najwyżej podoficerów, których się gromi, odezwał się mniej więcej w następujące słowa: Nie wiem, jaki ma być cel waszej podróży. Najjaś. Panu przedstawić was nie mogę, bo Rosya ma 120 milionów mieszkańców, a gdyby wszyscy Najj. Panu chcieli się przedstawiać, nie miałby on czasu rządzić. W jakim zresztą charakterze chcecie panowie jechać, jakie ciało wy przedstawiacie?

Odpowiedziano mu na to, że wprawdzie obecni nie reprezentują żadnego ciała, którego tu nie ma, zajmując jednakże, dzięki różnym okolicznościom, wybitniejsze w kraju stanowisko, mogą mieć pretensyę przedstawiania tego, co się zowie: „Les notables du pays“. Tymczasem jen. Hurko tak dalej mówił: Ci panowie, którzy mają urzędy dworskie, oczywiście mogą jechać i być pewni, że im właściwe miejsca będą wyznaczone. Zresztą każdemu wolno jechać, kto otrzyma paszport do Petersburga, ale gremialne wystąpienie nie może mieć miejsca.

Na uwagę, że po śmierci cara Aleksandra, jenerał Albiedyński wyraził życzenie, aby jak najliczniejsze przedstawicielstwo tutejszego kraju udało się do Petersburga, jenerał Hurko odpowiedział: To mogło być jego zdanie, ja mam swoje i znam prawo. Życzyliście sobie panowie, abym przesłał od was Najjaśniejszemu Panu wyrazy współczucia, zapewnienie wierności i życzenia. Przyrzekłem wam to, ale nazajutrz, po waszej u mnie bytności, miałem u siebie jednego z tych, którzy stali wówczas na czele waszego grona. Pan ten odmawiał rozporządzenia, aby manifest Najj. Pana w kościołach był odczytany w języku rosyjskim i aby przysięga w tym języku była odebrana i kazał czytać ma-

---

5)

ZAGRZEBANI

POWIEŚĆ

przez Klemensa Junoszę.

(Ciąg dalszy).

Dwór w Maciejowie, dwór, który ludność ciągle nazywa nowym, chociaż go ze sto lat temu zbudowano, stoi przy samej drodze, w odległości kilkuset sążni od ruin.

Jest on drewniany, dość obszerny, a nawet pokaźny. Od frontu zdobi go duża weranda, ocieniona gęstymi splotami dzikiego wina, okna są potrójne i szerokie. Oprócz mieszkań parterowych, jest jeszcze facyatka na górze, w której znajdują się dwa pokoje, specyalnie przeznaczone dla gości.

W ogrodzie, rozciągającym się po za dworem, stoi domek, zwyczajny mały domek, wzniesiony przez domorosłego cieślę, lecz nazywany „chińskim“, zapewne dla tego, że jest wyklejony wewnątrz obiciem, przedstawiającem Chinki w palankinach i Chińczyków, strzelających z łuków do ptaków, których nazwy, najbieglejszy nawet ornitolog, nie potrafiłby określić.

Domeczek ten mieści w sobie apteczkę, oraz szafy, pełne starych książek i papierów.

Wśród tych ostatnich znalazłby się niejeden dowód dawnej świetności Maciejowa.

Pan Symplicyusz, gdy do Maciejowa przyjedzie, lubi zamykać się w chińskim domku i owe papiery wertować. Najbardziej zajmuje go sławny proces dawnych właścicieli Maciejowa, z kapitułą krakowską, proces, który się toczył z górą przez sto lat, i aczkolwiek do żadnego rezultatu nie doprowadził, niemniej jednak stał się dla rodziny bardzo szacowną pamiątką, ze względu na rozmaite dokumenty, jakie się w aktach zostały.

Podobno jest także w tych papierach potężny fascykuł, obejmujący *Silva rerum*, rodzaj pamiętnika rodzinnego, zaczętego za bardzo dawnych czasów a prowadzonego, z przerwami, prawie do końca zeszłego wieku. Później już panowie Maciejowscy stracili jakoś ochotę do pióra, a może też nie chcieli smutnych wspomnień notować.

Wymawiał im to nieraz pan Symplicyusz, twierdząc, że nie godzi się przerywać tak szacownego łańcucha wspomnień, ale nie wiele to pomogło, fascykuł leżał spokojnie na szafie, pokryty warstwą kurzu, a móle i myszy zaczęły nad nim opiekę swoją rozciągać.

We dworze maciejowskim panowała dziwna atmosfera.

Pan Mikołaj, faktyczny właściciel majątku, był niby to gospodarz, ale przy powolnym temperamencie i usposobieniu łagodnem niezwykle nie sporo mu to szło. Z robotami zwykle się spóźniał, służbę miał rozpuszczoną, jak nigdzie i tak wszystko prowadził jakoś nieskładnie, że nigdy końca z końcem związać nie mógł i zawsze był w kłopotach. Może wiek dość już spóźniony, a może ciężkie przejścia w życiu i niepowodzenia zniechęciły go i odebrały mu resztki energii, ale na pewnych punktach starowina odznaczał się niepokonanym uporem.

Za nic w świecie rządcy ani ekonoma przyjąć nie chciał, choć często namawiano go na to.

— Po co? — mówił — na gospodarstwie znam się lepiej od wszystkich rządców i najuczeńszych nawet agronomów, a energia warta więcej, niż wszelka praca najemna. Pańskie oko konia tuczy, a czego nie dopatrzysz okiem, to domierzysz workiem.

Sprzedać majątku również nie było sposobu. Nagabywany przez dzieci, uciekał, i albo do Warszawy wyjeżdżał, albo też do łóżka się kładł, chorego udając, i nowej zwłoki żądał, aż nareszcie kupujący, znudzeni przewlóczeniem ciągłem, dawali za wygraną i nie pokazywali się więcej.

Tego też tylko było staremu potrzeba. Skoro zmiarkował, że z kupnem sprawa ucichła, po dawnemu po folwarku dreptał, tabaką parobków częstował, w domu zrzędził, a wieczorami pasyanse kładł, lub też w maryasza grywał z kuzynką swoją, panną Weroniką, osobą już niemłodą, która rolę gospodyni domu w Maciejowie odgrywała, gdyż pan Mikołaj od kilkunastu lat był wdowcem.

Miał także pan Mikołaj pewne dziwactwa swoje i słabostki. Z mową porą, sam w swoim pokoju w piecu palił, zapałki pannie Weronice z wielką skrupulatnością i niezmiernemi trudnościami wydzielał; własnoręcznie przyrządzał tabakę i sam, w całym domu nakręcał i regulował zegary... Co do tabaki, miał sławne swoje sekrety i przepisy. Robił litewkę, bernardynkę, a dla wielce dystyngowanych gości mięszał francuzką z makubą. Zegarów było w domu kilka, a wszystkie stare, wysłużone antyki, o zardzewiałych kółkach, zdezelowane zupełnie. Zegarom tym dawno się już odpoczynek należał, lub honorowe miejsce w muzeum osobliwości; ale pan Mikołaj popychał je ciągle, każąc im chodzić i dzwonić.

Regulował je podług kompasu, lub tabelki wschodu słońca w kalendarzu, ale nieposłuszne maszyny stawiały bierny opór. Kurant stanowczo grać nie chciał; cyklopy zaprzestały młotami godziny wydzwaniać, a w ostatnich czasach najwierniejsza i najposłuszniejsza kukułka dotychczas pokorna i poddająca się rozkazom, zachrypła i pomimo uporczywego naciągania przestała kukać...

Pan Mikołaj przywiązał jej do wagi stary klucz od spichrza, gdy to nie pomogło, woreczek piasku przyczepił i byłaby się kukułka niezawodnie rozruszała i poszła, ale zardzewiały gwóźdź w ścianie nie mógł wytrzymać ciężaru i oto nagle kukający antyk, z indeksem, wagami i całym aparatem, upadł na podłogę...

Pan Mikołaj został jakby piorunem rażony. Załamał ręce, a gdy przerażona łoskotem i brzękiem, panna Weronika wpadła do pokoju z krzykiem: co się stało?! — fuknął na nią i powiedział ostro, żeby nie mięszała się w nieswoje rzeczy, lecz pilnowała lepiej kuchni i tego, co do niej należy.

Stara panna aż rozpłakała się z żalu, a pan Mikołaj szczątki rozbitego antyka pozbierał, na stole je poukładał i rozmyślał, w jakiby sposób z tych marnych resztek napowrót wspaniałą i kukającą całość znów złożyć.

Gdy tak wytwarzał w myśli rozmaite kombinacye, dano mu znać, że pan Symplicyusz przyjechał.

Pozostawiwszy na stole rozbity zegar, pan Mikołaj co prędzej na ganek wybiegł, aby gościa swojego powitać. Wybiegł tem skwapliwiej, że z Symplicyuszem łączyła go dawna przyjaźń i wieloletnia znajomość.

— Jak się masz stary! jak się masz? — zawołał, rzucając mu się na szyję. — Tak dawno cię już nie widziałem; sądziłem, że zapomniałeś w której części świata znajduje się Maciejów.

— Nie mogłem, jak cię kocham, panie Mikołaju! nie mogłem!... interesów mam mnóstwo.

— A ja tak się już stęskniłem do ciebie. Nawet powiedziawszy prawdę, to i potrzebny mi byłeś...

— Jestem tedy... jeżeli potrzeba nie minęła. Czem mogę służyć?

— Takżeś zachciał! Zdrożony, zmęczony jesteś, a jabym cię zaraz interesami miał trapić? Chodź-że przedewszystkiem, spocznij, usiądź. Panno Weroniko! Weronisiu! Każno zaraz gorącej kawy podać. Siadajże-no! mój Symplicyuszu kochany, kości rozprostuj!

— Cóż tu słychać?

— Jak zwykle, źle słychać, kłopoty, powiadam ci, zmartwienia, dnia spokojnego człowiek nie ma.

— Ale przecież?

— Czekaj-no! tabaki przedewszystkiem zażyj, ale poczęstuję cię czemś znakomitem, zaraz.

Starowina pobiegł do swojego pokoiku, zkąd wrócił po chwili, trzymając w ręku piękną tabakierkę srebrną wyzłacaną wewnątrz.

— No! mój Symplicyuszu! próbuj!... Właśnie przypadkiem znalazłem doskonały przepis. Mogę cię zapewnić, że sam nawet arcybiskup paryski, jeżeli zażywa tabakę, to gorszą, słowo ci daję.

— Istotnie! udała ci się, wyśmienita!

— A widzisz! Spotkać znawcę to jest prawdziwa przyjemność, ale oto panna Weronika przysłała nam kawę. Sama nie raczyła przyjść. Ale nic dziwnego.

— Cierpiąca może?

— Cierpiąca, cierpiąca na elegancyę i na fanaberye! Pan Jajko przyjechał, więc nie można wyjść po domowemu, w zwyczajnej sukience, ale trzeba się zaraz wyfiokować, wystroić, przyprawić do głowy ze dwa fanty cudzych włosów. Tfy! bodaj to my ludzie starej daty, kochany Syplicyuszu! Siwy, to siwy, łysy, to łysy, ale fałszów żadnych! Odn.

przewrotniejszego?

Myśl deputacyi w bardzo szerokich kołach zupełnie przychylnego doznała przyjęcia, ale rozumie się, że jak wszędzie i tu jest tromtadracya która pracuje w myśl jenerała Hurki, ratując rzekomo tym sposobem „godność narodową", zagrożoną jakoby przez ludzi spokojnych i poważnych, którzy pragną lepszych dla kraju stosunków. Biedna ta „godność narodowa".

Ci najlepsi sprzymierzeńcy jen. Hurki powołują się na to, iż „zagraniczna" prasa polska stoi po ich stronie. Trudno nam skontrolować prawdziwość tego twierdzenia, bo „zagranicznych" dzienników polskich tu nie otrzymujemy. Miałem wczoraj w ręku kursujący tu numer *Dziennika Poznańskiego*, który jednakże tylko do pewnego stopnia popiera naszych tromtadratów. Jest to nr. 253 tego pisma, w którem korespondent z Warszawy pisze o pierwszem przyjęciu u jen. Hurki. Mnie się zdaje, że korespondent oświadcza się za deputacyą, chociaż napadając na osobistości, przedmiot traktuje w sposób mało poważny.

Dziwić się należy, iż redakcya poważnego pisma podobne napaści toleruje, przecież poza takiemi osobistemi zaczepkami zwykle siedzą jakieś osobiste żale i urazy, których w tak ważnych chwilach możnaby nie podnosić. Wszak głównie o to chodzi, co zrobiono, a nie kto zrobił. Zlitujcie się, na Boga, traktujcie w prasie, choć w tak ważnych i ciężkich dla nas chwilach, sprawy nasze poważnie.

Korespondencye,

Wiedeń 13 listopada.

(Kwestya drożyzny mięsa — ustawa o handlu ratalnym — ustawa o domokrąstwie).

Komisya ekonomiczna izby posłów ukończyła już onegdaj swe obrady w kwestyi drożyzny mięsa. Dla naszego kraju który eksportuje rocznie bydła i mięsa na kwotę 40,000.000 złr. sprawa to tak ważna, że w kilku słowach podać wypada ostateczne wnioski, do których doszła większość komisyi.

W komisyi poruszano różne projekta, mające zaradzić podrożeniu mięsa; jedni żądali otwarcia granicy rumuńskiej, drudzy urządzenia rzezalni na wschodniej granicy Galicyi, inni znowu koncentracyi handlu mięsa w zakładach utrzymywanych przez gminy albo przez akcyjne towarzystwa, wreszcie głosy bardzo poważne odzywały się za obniżeniem podatków konsumcyjnych.

Z tego najważniejsze były wyjaśnienia, które dał szef sekcyjny baron Erb. Oświadczył on, że Państwo nie może dawać Wiedniowi pieniędzy na urządzanie wielkich miejskich rzezalni i targów, aby przez to wykluczyć handel pośredniczący, bo z równem prawem mogłyby się i inne gminy domagać takich zasiłków a na to skarb państwa nie posiada zasobów dostatecznych. Wśród publiczności krążą bardzo fałszywe wiadomości o handlu mięsa. Dane statystyczne o nim są niepewne, ceny, o jakich się mówi i pisze, nie odpowiadają rzeczywistości. Namiestnik Dolnej Austryi naradzał się z członkami magistratu wiedeńskiego i przyrzekł starać się o uzyskanie pewnych danych o rzeczywistym stanie dowozu mięsa do Wiednia. Z dotychczasowych dochodzeń pokazało się, że handlarze sprzedają mięso o 5 centów drożej, niż przepisy targowe nakazują, że utrzymują w tajemnicy pewnej wszystko co tylko dotyczy cen bydła. Producent bydła nigdy ze sprawozdań targowych dowiedzieć się nie może, ile za bydło płacono w ostatnich dniach. Ludności rozpowiada się baśnie, że za woły płacono 68—70 złr. i dyktuje się jej ceny coraz wyższe. Tymczasem kupując bydło rzeźnik od wagi żywej wedle tuszy sztuki odciąga 25—42% na kości, rogi, racice, zęby itd., płaci nie 70 złr., ale tylko 52½ złr. albo na-

Ważniejszym przeto jest wniosek komisyi domagający się od rządu intenzywniejszego zajęcia się chowem bydła, nierogacizny, owiec, hodowlą ryb i ustanowienia jak najtańszych taryf dla transportu artykułów żywności. Nadto wezwano rząd, aby wniósł przedłożenie ograniczające zakupno łąk w krajach alpejskich w celu polowania na nich, bo brak paszy z roku na rok staje się dotkliwszym, dalej aby wystarał się izby państwowe i prywatne koleje sprawiły sobie nowe i lepsze wagony na bydło i mięso.

Minister Falkenhayn wykazywał wprawdzie, że od czasu objęcia przez niego teki dotacye na rzecz rolnictwa wzrosły z 145 000 zł na 587.000 zł. ale jakkolwiek podwyższenie to wydatków produktywnych jest z pewnością uznania godnem, nie odpowiada jednak jeszcze potrzebom chwili.

Z całej debaty w komisyi ekonomicznej najważniejsze właśnie były te wyjaśnienia, z których wynikało, że jeśli kogoś bronić dziś należy, to w pierwszym rzędzie, rolnika. Wywody o smutnym stanie rolnictwa trafiły też do przekonania komisyi, która oświadczyła się stanowczo zarówno przeciw otwarciu granicy rumuńskiej jak przeciw dowozowi australskiego mięsa. Słusznie bowiem zaznaczono, że chcąc podnieść chów bydła w kraju, nie można go narażać na konkurencyę australskiego dowozu. Poruszono tylko myśl dowozu z Bośnii, główny nacisk kładąc na zreformowanie stosunków targowych. Wczoraj na posiedzeniu Koła polskiego ks. Kopyciński zakomunikował skargi galicyjskich producentów nierogacizny na opłakany stan targu wiedeńskiego; wydelegowano dr. Milewskiego do zbadania na miejscu podnoszonych zarzutów. Zupełnie nie rymują z utyskiwaniami wiedeńskich konsumentów żale producentów i ze wszystkiego widać, jak nie w porę wybrali się handlarze tutejsi ze swojem żądaniem otwarcia granicy wschodniej dla dowozu bydła.

Inną kwestyą, też obchodzącą szerokie warstwy ludności, zająć się ma Izba Panów jeszcze w tym tygodniu. Mianowicie handlem na raty. W komisyi izby Panów przedłożenie izby posłów uległo znacznym zmianom i ulepszeniom na rzecz kupców sprzedających na raty. Wedle dawniejszego projektu kupców wyzyskujących lekkomyślność konsumenta karać się miało grzywną do dwóch tysięcy zł. i aresztem do dwóch lat. Także inne ustępy ustawy naznaczały kary za nadużycia różne w handlu na raty. W izbie Panów złagodzono te postanowienia i tylko kupiec, który nie chce wydać odbiorcy odpisu kontraktu, karanym być ma przez władze polityczne grzywną do 50 zł. Co do zmian we formie procesu, co do prawa, jakie przysługiwać ma kupującemu do unieważnienia kupna, jeśli przedmiot mniej jest wart niż połowa ceny umówionej, lub do ewikcyi z powodu różnych braków towaru, wreszcie co do kompetencyi tego sądu, w którego obrębie mieszka kupujący, izba Panów to samo zajmuje stanowisko, co izba posłów. O losie ostatecznym ustawy wypadnie jeszcze pomówić, bo jest to reforma głęboko sięgająca w życie ekonomiczne warstw mniej zamożnych.

Domokrąstwo — jak wiadomo — też miało się doczekać stosownej reformy i ograniczenia w nadawaniu patentu. Jednak w komisyi przemysłowej te projekta rządu spotkały się z bardzo surową krytyką i to zarówno u posłów z lewicy jak i z Koła polskiego. Dr. Exner obliczył, że domokrążcy, których jest około 17,000, sprzedają za 50,000,000 zł. towarów rocznie, że np. ubytek 1000 domokrążców wyrządziłby rękodzielnikom szkodę na 2,500.000 zł. Domokrążca idzie do wsi oddalonych i tam sprzedaje towar, którego inaczej chłop by nie kupił. O konkurencyi ich zaś z przemysłowcami i rękodzielnikami, których jest 280 tysięcy, mowy być nie może. Dr. Lewicki zaś wspomniał, że namiestnictwo lwowskie przedstawiało rządowi domokrąstwo jako podporę przemysłu, zwłaszcza domowego. Ks. Chotkowski także życzył sobie jedynie pewnych ograniczeń ze względów religijnych. Wybrany subkomitet ma teraz rozstrzygnąć o reformie.

Berlin 13 listopada.

W dzisiejszej sytuacyi wewnętrznej cesarstwa niemieckiego od pewnego czasu dzieją się rzeczy niezwykłe. W Berlinie ministrowie padają i — rzecz niebywała — nikt nie kwapi się zająć ich miejsca; równocześnie zaś większe państwa związkowe uczuwają potrzebę ściślejszego porozumiewania się między sobą i wznawiają zniesione poselstwa!.. Są to zjawiska ciekawe same przez się, ale ich znaczenie polityczne występuje w pełni dopiero w świetle krytycznego zestawienia faktów, które wprost narzucają się pod obserwacyę.

Zacznijmy ze strony najwięcej charakterystycznej, jaką jest dekret wielkiego księcia badeńskiego, przywracający własne poselstwo przy dworach: bawarskim i wirtemberskim. Ażeby ocenić całą doniosłość tego faktu, dość jest przytoczyć oficyalny motyw urzędowej *Karlsruher Ztg.* Powiada tedy organ rządu badeńskiego, że „przywrócenie zniesionych w czasie organizacyi cesarstwa poselstw w Monachium i Stuttgardzie stało się koniecznem, gwoli ułatwienia porozumiewania się pomiędzy państwami związkowemi, czego potrzeba występuje teraz w wyższym jeszcze stopniu niż dawniej".

Mówi to organ księztwa, na którego tronie zasiada bliski powinowaty cesarza, jeden z najpoważniejszych monarchów związkowych, książę, który sam położył duże zasługi około budowy cesarstwa. Wielki książę badeński pozostaje z domem królewsko-pruskim nietylko w stosunkach pokrewieństwa, lecz i dawnej, wypróbowanej przyjaźni, popierał on politykę pruską jeszcze wtenczas, gdy wewnętrzne walki i liczne przeciwieństwa składały się na ferment, przygotowywujący wielkie dzieło utworzenia cesarstwa. Wielki książę Fryderyk Wilhelm nie stał się więc chyba partykularystą na starość i nie zmierza do zwalenia budowy, nad której wzniesieniem sam skutecznie pracował.

Skoro więc ten właśnie książę uczuwa potrzebę, aby państwa związkowe ściślej pomiędzy sobą ukształtowały wzajemną wymianę zdań, ku czemu — wedle słów urzędowej gazety — zachodzą obecnie powody ważniejsze niż kiedykolwiek dawniej, toć nie można tego rozumieć inaczej, tylko tak, że dzisiejsza sytuacya w cesarstwie nakazuje jego członkom silniejsze czucie pomiędzy sobą, ażeby, bądź zapobiedz jakimś wypadkom przez wspólne czuwanie, bądź jakieś zagrażające niebezpieczeństwa odwrócić.

Zkądże wynikać mogą te nagłe obawy?.. Źródła ich szukać należy niewątpliwie w ostatnich wypadkach berlińskich, które przybrały tak osobliwą i zagadkową postać, iż dalszy w tym zamęcie postęp pozwala przypuszczać całkiem nieprzewidziane zwroty.

Że upada kanclerz, który cieszył się osobistą życzliwością monarchy i w ostatniej jeszcze chwili doznawał jego poparcia; że ministrowie, którzy do tego nie dali powodu, zostają w domu, przy obiedzie, zaskoczeni wskazówką, aby prosili o dymisyę, — to już się niekiedy zdarzało w państwach silnie monarchicznych; taką samą sztukę umieją zresztą pokazywać i parlamenty, zazdrosne o swoją władzę. Ministrowie przychodzą i odchodzą, a najczęściej bywa to obojętnem dla dziejów świata. Lecz wcale niezwykłem, prawie zdumiewającem zjawiskiem jest, że w państwie o silnej organizacyi i tradycyjnym porządku; w państwie, które chlubiło się zawsze swoim stanem urzędniczym, zaczyna być trudno o nowych ministrów!..

Taka ewentualność nikomu przez myśl nie przeszła. Czyż nie ma ludzi zdolnych? — Są. Lecz nie każdego wziąć można, a ci, na których zwrócono uwagę, bronią się od zaszczytu. Pokazuje się, że każdego — nawet takiego olbrzyma, jak Bismark — można zmusić do ustąpienia, ale nikogo nie można zmusić do tego, aby został ministrem, gdy nim jeszcze nie jest. Prosta i naturalna rzecz, a przecież nie pamiętano o niej, — może dlatego właśnie, że taka prosta, lub może dlatego, że nie przypuszczano możliwości podobnego strejku!..

Formalnie, zjawisko to jest przemijające, gdyż ostatecznie znajdą się w szeregach różnych „prezydentów" jacyś kandydaci możliwi, i wakujące teki nie będą osierocone na zawsze. Lecz na obecne przesilenie berlińskie rzuca ten zastój wielce charakterystyczne światło i ułatwia zrozumienie sytuacyi, która zdaje się chylić do jakiegoś stanowczego przełomu.

Spotkaliśmy się w prasie ze zdaniem, że niechęć urzędników pruskich do tek ministeryalnych wynika z powołania Bawarczyka i katolika zarazem na stanowisko kanclerza i prezesa gabinetu pruskiego. Słaby to komentarz! Poważni kandydaci ministeryalni, nie są z pewnością takimi krótkowidzami politycznymi, aby w ks. Hohenlohem widzieli jakieś niebezpieczeństwo w duchu „partykularystycznym". Lecz zachodzi okoliczność inna.

Nowy kanclerz podjął się niemożliwej roli zjednoczenia w swoich urzędach walczących z sobą prądów, których starcie wytworzyło przesilenie: ma on wyobrażać coś w rodzaju kompromisu między liberalnem mieszczaństwem a junkierstwem. Ale kompromisu nie ma: junkierstwo coraz wyżej podnosi głowę i występuje jak tak, jakby jutro napewno miało osiągnąć ostateczne zwycięstwo, ale w parlamentarnych instytucyach ono nie ma większości; złożyć je może z liberałami lub katolikami, te jednak oba stronnictwa nie kwapią się do kartelu. W położeniu takiem, ministrowi pruskiemu przypada rola drogowskazu o dwóch ramionach, obróconych w przeciwne strony. Łatwo rozumieć, że nie każdy ma gust do takiej pozycyi, zwłaszcza, gdy i z niej wyrzuconym być można, niewiadomo kiedy i za co!

Wnioski przeciw propagandzie socyalistycznej, reformy finansowe, etc., — wszystko to są szczegóły, które tylko zaciemniają widok na horyzont ogólny, o ile są brane za właściwe powody przesileń, gdy niemi w gruncie rzeczy wcale nie są. Caprivi nie upadł właściwie przez ustawy wyjątkowe: a Miquel stoi jeszcze na silnych nogach, pomimo, że jego reforma finansowa zrobiła *fiasco!* Coś innego ciąży na sytuacyi całości i na umysłach tych, co się odwracają od tek ministeryalnych. Oto, niewiadomo naprawdę czego kto chce; niewiadomo, do kogo należy jutro: do tych co szli z Caprivim, czy do tych co szli z Eulenburgiem; niewiado-

Rada miasta Lwowa.

się z pewnością opinia miasta, bo gmach tam postawiony zasłoniłby zupełnie piękny kościół OO. Bernardynów. W tyle teatru stanęłyby magazyny teatralne, przywożonoby tam i wywożono ztamtąd ciągle rekwizyta, kościół więc byłby zasłonięty w zaułek i byłby niejako postponowany. Rada zaś nie powinna kościoła, który jest tak pięknym zabytkiem architektonicznym i z którym łączy się tyle wspomnień z historyi m. Lwowa, zasłaniać jakimś nowomodnym parawanem, choćby ten parawan był jak najpiękniejszy. Z tych przeto względów nie należy projektu p. Rawskiego uwzględnić. W dalszym ciągu poparł mówca wywody p. dr. Maryańskiego i wniósł, aby Rada uchwaliła głosowanie rozdzielić i najpierw głosowała nad wyborem miejsca, a dopiero potem zastanowiła się nad tem jak się ma oświadczyć: czy za objęciem teatru we własny zarząd, czy też upraszać, aby kierownictwo teatru objął Wydział krajowy.

Z kolei zabrał głos p. r. br. Gostkowski i przemawiał bardzo niefortunnie. Najpierw podniósł zarzut, iż sprawa teatru traktowaną jest nagle (r. dr. Małecki woła: 12 lat, w sali śmiech, r. br. Gostkowski: ja 12 latami zbić się nie dam). Dalej skarżył się, że Rada jednogłośnie odrzuciła wniosek jego, aby referent odczytał orzeczenie dyrektora urzędu budowniczego p. Hochbergera o pl. Gołuchowskich. Odczytania tego orzeczenia domaga się ogół, który chce, aby sprawa dokładnie była wyjaśnioną. Lecz Rada nie chce dać wyjaśnień ogółowi i na wniosek ks. kan. Mazuraka zamyka dyskusyę. „Nie dziwi mnie to — ciągnął bar. Gostkowski dalej, — że ks. kan. Mazurak jest specyalistą od zamykania dyskusyi, gdyż on należy do sfery tych, którzy zawsze lubią zamykać usta tym, którzy chcą mówić i lubią zaciemniać wszelkie nowe myśli i prądy". Po tych słowach wśród radnych powstał szmer, niektórzy sykaniem okazywali swe niezadowolenie, a p. prezydent wezwał mówcę, aby zaniechał wszelkich wycieczek i trzymał się przedmiotu. W dalszym ciągu przemawiał mówca za projektem p. Rawskiego i dowodził, że jeżeli Rada uchwali postawić teatr na placu Gołuchowskich, to stanie on w ogrodzie miejskim (wesołość) gdyż teatr na placu Gołuchowskich stanąć nie może, więc ci, co są za ogrodem miejskim, głosują za placem Gołuchowskich, aby na razie rzecz sprowadzić ad absurdum i w końcu postawić na swojem, na jezuickim ogrodzie. Wywody swe popierał mówca orzeczeniem p. Hochbergera, który również przemawiał przeciw pl. Gołuchowskich a za placem Halickim. Dalej cytował mówca rozmaite ustawy budowlane, objaśniał długo jak się budują teatry, jak wyglądają rozsuwane podłogi, opowiadał, jak to on był urzędnikiem kolei państwowej w Wiedniu, przytoczył wierszyk niemiecki o wodzie, że woda to „ein Element mit keinem Regiment, lasst sich nicht komandieren und wird nicht abmarschieren", a w końcu podniósł wniosek mniejszości sekcyi III, aby Rada zgodziła się na projekt p. Rawskiego. P. Gostkowski mówił przeszło godzinę.

R. kanonik Mazurak w odpowiedzi p. br. Gostkowskiemu podniósł, że wprawdzie uczynił wniosek, aby zamknięto dyskusyę nad tą już od lat 12 toczącą się sprawą, ale musiał mieć słuszność, kiedy Rada prawie jednogłośnie na to się zgodziła. „Muszę atoli — rzekł ks. kan. Mazurak — odeprzeć inny zarzut. Powiedział tu p. bar. Gostkowski, że należę do kategoryi tych ludzi, którzy zamykają wszystkim usta. Należę do stanu duchownego i żałuję bardzo, że pan baron nie był pod wpływem tego stanu i nie nabrał wychowania, bo byłby inaczej przemawiał i trzymał się granic parlamentaryzmu (oklaski). Od 12 lat ciągle, a od 5 dni dzień w dzień słyszę jedno i to samo i od tego aż mi głowa

okazały, iż położenie tam fundamentów nie pochłonie tak wielkich sum, jak twierdzą przeciwnicy tego placu, kosztować będzie najwyżej o 36.000 złr. więcej, niżby kosztowało, gdyby wody zaskórnej wcale nie było. W końcu raz jeszcze poparł wniosek uchwalony przez magistrat i trzy sekcye: finansową, budowniczą i sanitarną, aby Rada zgodziła się na budowę teatru na placu Gołuchowskich z możliwem wysunięciem przyszłego gmachu na Wały Hetmańskie i aby uchwaliła nowy teatr objąć we własny zarząd. Z wywodami referenta chciał jeszcze polemizować p. Gostkowski, lecz widząc, że wśród obecnych nie znajdzie chętnych słuchaczy, oznajmił tylko, iż to, co chciał dziś rzec w odpowiedzi p. Janowskiemu, napisze w dziennikach.

Przystąpiono wreszcie do głosowania i znaczną większością przyjęto wnioski referenta. Wszystkie inne wnioski upadły. Za placem Halickim głosowało tylko 10 radnych. Na tem obrady zakończono.

W sprawie stanu materyalnego księży.

(*List do Redakcyi*).

Nawiązując do korespondencyi *Przeglądu* N. 252 zatyt. „Stosunki narodowościowe w Galicyi" traktującej o broszurze p. Jiła, niech mi będzie wolno od siebie parę słów dodać.

Autor tej korespondencyi kładzie nacisk na potrzebę budowania kościołów i kaplic we wschodniej Galicyi, ażeby można przeciwdziałać ruszczeniu się polskiego ludu. Jest to myśl bardzo dobra, pojął to nasz Najprz. Konsystorz, pojęli to i inni patryoci, i kościoły Bogu dzięki powstają. Zapomniano tylko o jednej ważnej okoliczności, że sam kościółek zadaniu temu nie sprosta, jeśli nie będzie przy nim kapłana stale zamieszkałego, a tylko dojeżdżający parę razy do roku.

Rząd, który tak olbrzymie zabrał dobra religijne, stawia nieprzeparte trudności w erygowaniu nowych stacyi samoistnych duszpasterzy. A teraz pytanie: zkąd wziąć księży? Brak księży jest wielki, a kiedy zajrzymy do szematyzmu, pokazuje się widok wprost przerażający. Na rok 1894 było jedynastu do wyświęcenia, podczas gdy w tym samym roku 20 księży zmarło; wszystkich księży świeckich w duszsterownictwie pracujących jest 365, a między tymi 25 jubilatów t. z. od 74 do 80 lat mających. A śledząc dalej tę sprawę, widzimy, że z każdym rokiem zastęp młodzieży dążącej do stanu duchownego zmniejsza się, i przyjdzie może czas, że jeden kapłan będzie zarządzał kilkoma parafiami. Cóż za przyczyna tego smutnego objawu? Wszędzie widzimy przepełnienie, tu tylko brak. Czy to może duch czasu? może religijna obojętność młodzieży? brak powołania? Stanowczo nie! Przyczyna leży w nadzwyczaj lichem uposażeniu niższego kleru i w smutnych widokach na przyszłość.

Niech mi nikt nie zarzuca, że toby smutno świadczyło o przyszłych kapłanach, którzyby wybierali ten stan nie *propter Jesum*, lecz *propter esum*. Trudno wymagać od młodzieńca, obierającego sobie zawód, aby przy całej swej pobożności i zamiłowaniu do stanu kapłańskiego, nie pomyślał o stronie materyalnej, wszak jesteśmy ludźmi, wszakże kapłani z powołaniem w całem tego słowa znaczeniu, nie zrezygnowali ani z dostojeństwa, ani z bogatej prebendy dla okazania, że im nie chodzi o stronę materyalną, zkądże zatem moglibyśmy żądać tego ideału i zaparcia się od młodzieńca, zamierzającego dopiero wstąpić do tego stanu?

Czyż ponętnie przedstawia się takiemu młodzieńcowi ten stan? Pominąwszy wszystko inne, przedstawia mu się strona materyalna, zwykle utrzymanie nader opłakanem, graniczącem często z nędzą. Młodzieniec ukończywszy prawa, filozofię, zostaje urzędnikiem, profeso-

rem, dostaje odpowiednią pensyę, różne dodatki, komisyjne dyety, kwinkwenia i ma przed sobą awans, a wreszcie odpowiednią emeryturę, to też pilnie pracuje, aby się dobić wyższego stanowiska, a wreszcie zapewnić sobie byt na starość. Poświęcający się zaś stanowi duchownemu, ukończywszy te same studya, po wyświęceniu zostaje wikarym i dostaje 300 zł. rocznej pensyi, na którem to stanowisku, choćby był najgorliwszym, może zostać i 20 lat, czasem nawet do śmierci. A gdy wreszcie dostanie liche probostwo, otrzyma aż 500 zł. oczywiście nie całych, bo jeźli ma parę kawałeczków pola, to dochód ten potrącają mu z tych 500 zł. Niechże pracuje z całym wysiłkiem aż do upadłego, karyera jego skończona. Ale czemże ten ksiądz wszystkiem nie jest! Jest przedewszystkiem plebanem.

Urzędnik, profesor ma swoje urzędowe godziny, po za któremi nikt nie ma prawa do niego; proboszcz musi być na każde wezwanie, dzień czy noc, deszcz, czy inna szaruga, w czasie epidemii musi spieszyć z pomocą duchowną o każdej porze, narażając swe życie; jest dalej katechetą w kilku szkołach, c. k. urzędnikiem, musi być na rozkazy starostwa, sądu, notaryatu, urzędu gminnego, nawet Zarządu szkoły i to za rocznych 500 złr.!

Taki proboszcz staje swem stanowiskiem na pierwszym szczeblu społeczeństwa, od niego wymagają, aby był przykładem ofiarności; gdzie idzie o składki, o cele dobroczynne, o inne kwesty ksiądz powinien być pierwszy, podczas gdy on sam jest żebrakiem, chodzić musi w wytartej sutannie z czasów seminaryjskich, bo nowej nie ma za co sprawić; powinien się kształcić, a tymczasem nie ma za co kupić książki, zaprenumerować gazety. Dodajmy jeszcze i to upośledzenie, jakiego nie ma w żadnej kategoryi urzędników, ba nawet u woźnych: oto ksiądz jeden pobiera swą lichą pensyjkę z dołu! Zaoszczędzić nie może nic, gdy zachoruje, o sprowadzeniu lekarza mowy nie ma. Aż wreszcie posiwiały w pracy, stargawszy siły i zdrowie, dostaje emeryturę, po 20 latach służby 350 złr. a po 40 latach służby 425 złr., czyli po tylu latach ciężkiej pracy dostaje patent na kompletnego nędzarza i żebraka. Jestże on w stanie opłacić z tego pomieszkanie, opał, światło, pranie i wyżywić się, nie mówiąc już nic o jakiejkolwiek służbie? Jak sobie poradzi, gdy mu się buty zedrą? Piszę to pod wrażeniem „Odezwy“ jaką do księży rozesłał ks. Winkler emeryt. probosz zamieszkały w Buczaczu, z prośbą o wsparcie, aby przy nadchodzącej zimie nie zamarzł. Prośba ta połączona z rozpaczliwą skargą jest tak okropną, że krew się w żyłach ścina, jęki te zdaje się wychodzą z pod wieka trumny.

A nie jest to fakt odosobniony, takich emerytów mamy w Śniatynie, w Trembowli itd., którzy są wymowną zachętą dla młodzieży do stanu duchownego. Prawda, że są i u nas tłuste prebendy, ale czyż na nie zawsze prowadzi droga zasług lub wzgląd na lata służby? Bardzo często kapryśny los. Może kto powie: a dochody parafialne! Na to mu odpowiem, że minęły te czasy, gdzie mawiano, że ksiądz ma z żywego i umarłego. Dziś wszędzie bieda. Klęska spada jedna po drugiej jakby plagi egipskie: wylewy, słoty, co nie zgniło, grad wybił, a obecnie myszy jedzą oziminę i koniczynę, z każdym dniem zwiększają się czarne łaty, aż się przykro robi, głód będzie. Cóż ten biedak może dać księdzu, kiedy on sam potrzebuje wsparcia? Otóż czas najwyższy, aby pensyę księżom podwyższono, zrównano przynajmniej z urzędnikami i zapewniono odpowiednią emeryturę na stare lata. Wtedy młodzież będzie się garnęła do seminaryów, tak, że między elewami będzie można robić wybór i mniej powołanych oddalać. Wtedy w każdym kościółku będzie pasterz, a mając byt zapewniony, nie będzie zdzierał, a będzie szczerze pracował i z pożytkiem.

To jest żądanie nasze, to jest żądanie ogółu, a jest ono słuszne i uzasadnione. Nie chcemy robić majątków, bo nam ich nie potrzeba, ale mamy prawo do życia, a społeczeństwo i państwo, jeśli śmy mu potrzebni i pożyteczni, musi nam dać przyzwoite utrzymanie i zapewnić przynajmniej byt znośny i możliwy w starości.

Ks. W. K.

KRONIKA.

Lwów 15 listopada.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, wyjechał do Wiednia.

Konkursa. Sąd powiatowy w Zaleszczykach poszukuje dyetaryusza.

Rada szkolna krajowa na posiedzeniu z dnia 12 bm. uchwaliła: zatwierdzić wybory reprezentantów zawodu nauczycielskiego do rad szkolnych okręgowych: Władysława Strowskiego do rady szkolnej okręgowej w Nowym Targu; Piotra Ziembę w Chrzanowie, Maryana Deisenberga w Pilznie, Ludwika Bittnera w Brzesku; zatwierdzić wybór ks. kan. Karola Fąferki na zastępcę przewodniczącego Rady szkolnej okręgowej w Pilznie; zamianować Karola Streitę zastępcą nauczyciela muzyki i śpiewu w seminaryum nauczycielskiem w Samborze; zatwierdzić w zawodzie nauczycielskim ks. Franciszka Świderskiego w szkole realnej w Krakowie; wyłączyć od 1 stycznia 1895 gminę Wolę Radłowską z zakresu szkoły ludowej w Radłowie, pow. Brzesko i zorganizować jednoklasową szkołę ludową w Woli Radłowskiej od 1 lutego 1895; przekształcić od 1 stycznia 1895 r. następujące szkoły ludowe: 3-klasową w Birczy, pow. Dobromil, na czteroklasową; jednoklasowe w Sieprawiu, pow. Wieliczka, w Czaszynie, pow. Lisko, i w Zabużu Sokalskim, powiat Sokal, na dwuklasowe.

W sprawie monopolu wódki. Lwowska Izba handlowa na wniosek członka Izby p. M. Jonasza uchwaliła jednogłośnie na onegdajszem posiedzeniu zwołać ankietę producentów i handlarzy spirytusu z okręgu lwowskiej izby, którzy zastanowią się nad tem, jakie mają zająć stanowisko w sprawie zaprowadzić się mającego monopolu spirytusowego i powezmą odpowiednie wnioski. Wnioski te będą przedłożone rządowi.

Odczyt. Wczoraj w „Kole literackiem“ odbył się zajmujący odczyt p. St. Schnür-Pepłowskiego, który mówił o dziejach sceny warszawskiej od r. 1765 do 1777. Prelegenta nagrodzono hucznymi oklaskami. W przyszłym tygodniu p. Pepłowski mówić będzie o teatrze Bogusławskiego.

Zaręczyny. Dnia 7 bm. odbyły się we Lwowie zaręczyny p. Stan. Leliwy Juchnowicza z panną Maryą Rucką, córką śp. Stanisława i Zofii z Rogalskich Ruckiej, właścicielki dóbr Lipowce.

Narada w sprawie obchodu jubileuszu wprowadzenia unii odbyła się w zeszłą niedzielę w pałacu ks. metropolity Sembratowicza.

Z Żółkwi nam donoszą: Dnia 24 listopada odbędzie się w sali „Resursy“ na dochód pogorzelców Skwarzawy nowy wieczór muzyczny i deklamacyjny ze współudziałem amatorów i muzyki wojskowej 30 pułku piechoty pod batutą kapelmistrza p. Rolla. Po części muzycznej i deklamacyjnej nastąpią tańce.

Do Persyi oprócz dra Ratulda, który mianowany został nadwornym okulistą szacha perskiego, wyjechali jeszcze dwaj lekarze i jeden farmaceuta Polacy. Są to: dr. Karol Wiener, chirurg, dr. Jan Pułaski, dentysta i Kazimierz Ruciński, prowizor farmacyi. Wszyscy trzej otrzymali zapewnienie znacznych pensyi i podpisawszy kontrakty na przeciąg 6 lat, dostali po 5000 franków każdy na koszta podróży do Teheranu.

W Czytelni dla kobiet odbędzie się w sobotę 17 b. m. pogadanka na temat „Postacie niewieście w powieściach Prusa“.

W Nowym Sączu umarł onegdaj p. Karol Slavik, doktor medycyny i burmistrz miasta.

Niewłaściwości przy pertraktacyach spadkowych. Otrzymujemy następujące pismo: W kronice *Przeglądu* nr. 250 br. jest umieszczony artykuł pt. „Niewłaściwości przy pertraktacyach spadkowych“. W tym artykule przytoczone są przez p. Kraińskiego uciążliwości, dotyczące spadków ludności włościańskiej, tak co do przeprowadzenia jak i opłaty należytości od nich, przyczem powołuje się na niekorzystny dla włościan system postępowania wprowadzony przez byłego notaryusza w Ustrzykach. Podobne zażalenia często wyczytać można z gazet, i tak n. p. Związek chłopski w swym dzienniku żąda uchylenia zawiłej i nieprzystępnej ustawy o należytościach, a hr. Wojciech Dzieduszycki żąda, celem ulgi dla ludu włościańskiego, uwolnienia od opłaty spadkowej wszystkich spadków, których wartość nie przekracza 500 zł.

Ani jedno ani drugie miejsca mieć nie może, boby wnioskodawcy życzliwi ludowi wiejskiemu wprost przeciwny skutek odnieśli.

W czemże leży ulga i ratunek dla ludu wiejskiego?

Odpowiedź znajdujemy w samej ustawie o należytościach z r. 1850 i uzupełnionej z r. 1862, opartej na gruntownych studyach i wzorach innych państw, jak: Francyi, Belgii etc. Na obydwóch ustawach znajduje się podpis Najwyższego ustawodawcy państwa, a intencye Jego we wstępie do drugiego wydania zawarte są w przytoczonem zdaniu Troplonga o tej gałęzi ustawodawstwa francuskiego, które tak opiewa: „Ustawa o wymiarze należytości dla mężów obeznanych z umiejętnością prawa jest częścią najszlachetniejszą, można nawet powiedzieć, pomiędzy ustawami podatkowemi jest jedyną, która na miano „szlachetnej“ zasługiwać może, bo inne zajmują się tylko rzeczami materyalnemi, które jako takie, podatkom ulegają. Przy ustawie zaś o wymiarze należytości nie rozchodzi się tyle o rzecz jak o prawo rzeczowe. Z tego wynika dla zarządu skarbowego konieczność wzniesienia się do najwyższych sfer abstrakcyi prawa cywilnego i zawarcie z niem ścisłego i pełnego chwały przymierza“.

Niestety o intencyach tych w niejednym wypadku zapomniano. Uznają to wszyscy i dzisiejszy minister dla Galicyi p. Jaworski bardzo gorąco domagał się od dawna sprawiedliwszego sposobu wymierzania należytości i zniesienia albo przynajmniej zniżenia najuciążliwszych należytości.

Jeżeli owce wełnę na potrzeby ogólne dawać muszą, to każdemu gospodarzowi wiadomem jest, jakich ludzi do strzyży owiec używać ma, aby owiec nie kaleczyli i aby okaleczone owce nie chorowały lub z zadanych ran nie ginęły. Nie da się zaprzeczyć, że wymiar należytości nie zawsze spoczywał w odpowiednich rękach i w tem leży przyczyna licznych żalów. Przez zaprowadzenie urzędów wymiaru należytości przy powiatowych dyrekcyach w całej Galicyi od początku roku zeszłego, tej niedogodności zapobieżono. Zastosowanie ustawy o należytościach wymaga nietylko umiejętności prawa, ale i przy niewyczerpanej kazuistyce także wiedzy w różnych gałęziach ekonomii, tak prywatnej, jak i publicznej. Wymaga mężów fachowo wykształconych, aby się zbliżyli do wskazanego przez ustawodawcę, a przez usta Troplonga wypowiedzianego ideału. Czy tacy mężowie przy nowych urzędach wymiarowych swemu powołaniu odpowiadają, nie trudno o tem się przekonać, bo ich wymiar idzie pod cenzurę departamentu w Wiedniu. Statystyczny wykaz wytkniętych wadliwości może dać miarę zdolności urzędników, nie ujmując im jednak sposobności do uzasadnienia swych zapatrywań w poszczególnych wypadkach. W razie różnicy zdań rozstrzyga przełożona władza skarbowa.

Co się tyczy uciążliwości poruszonych przez p. Kraińskiego w wymienionej na wstępie korespondencyi, to o ile mi z gazet wiadomo, wyszło już rozporządzenie, że pertraktacye spadkowe bez interwencyi notaryuszów odbywać się mają w kancelaryach dotyczącego sądu. W ten sposób uciążliwość biednego ludu włościańskiego zostaje częściowo uchyloną, a tem samem wymierzona należytość wedle ustawy sprawiedliwa, bo miara dla wszystkich jednaka.

Z jakimi dokumentami i z kim spadkobiercy w kancelaryi sądowej pojawić się mają, to do sądu należy. Co się zaś tyczy opłaty należytości od spadku na rzecz skarbu państwa, to ustawa wyraźnie postanawia, że spadkobiercy: a) podać mają wartość przedmiotów stanowiących spadek, b) sporządzić mają wykaz całego spadku tak w stanie czynnym jak biernym. Wobec tego zatem zarządzenie detaksacyi w każdym wypadku jest zbyteczne. Podanie wartości przedmiotów, jest to sprawa czysto skarbowa, spoczywająca na rzetelności obywatelskiej, tak, jak przy fasyach dochodów czynszowo-domowych, jak przy deklaracyach celnych, etc. etc. Sądowa detaksacya może tylko mieć wtedy miejsce, jeżeli tego władza skarbowa zażąda.

W końcu wspomnieć wypada, że życzliwy dla ludu wiejskiego powyżej przytoczony wniosek hr. Dzieduszyckiego musiałby wywołać sądową detaksacyę każdego spadku i z tem połączone następstwa, a to kosztowałoby więcej aniżeli wynosi cała należytość spadkowa.

Nowy Sącz w listopadzie 1894.

A. Jana, emeryt. radzca skarbowy.

Z Falkenberga nam piszą: Ruszczenie polskiej narodowości, w *Przeglądzie* kilkakrotnie omawiane, ma sobie właściwą przyczynę, jako *causa, sine qua non*. Doświadczenie kilkoletnie i pilna obserwacya stosunków tutejszej okolicy potwierdzają zdanie, że sami dużo grzeszymy przesadną pobłażliwością. We święta polskie pracują sludzy obrządku grecko katolickiego na dworskich polach, w ruskie święta dla braku polskiej służby świętuje dwór. Księża polscy w rzadkich i małych parafiach, otoczeni zewsząd Rusinami, nie przestrzegają należycie ducha polskiego i z miłości dla bratniego narodu kaleczą po rusku.

Nie potępiamy Rusinów ani ich mowy, szanujemy ich obrządek, a jednak jeden z księży ruskich, mój sąsiad zmarły, daj mu Panie światłość, mawiał, że wolałby widzieć u siebie Niemców, niż Polaków. Pomimo tego, wbrew konkordyi z roku 1863, zabrał około ośmnastu rodzin polskich i przyłączył je — poza niebacznem okiem kalwaryjskich księży — do cerkwi. Tysowscy, Maliccy, Piotrowscy itd. żywy dają dowód. Do tego fatalizmu ułatwia drogę konkordat i nowsze rozporządzenia władz duchownych, które nie zważają na narodowość. Praktyka zaś dowodzi, że zruszczonych Polaków trudno oderwać od cerkwi, tem trudniej, że z łaski swych kierowników otrzymują nowe metryki i na ich zasadzie, bez zezwolenia władz duchownych, pozostają przy cerkwi. Do złego przyczyniają się potomkowie osadników józefińskich z mrzonką wielkogermańską, którzy ruski język i zwyczaje sobie przyswoili, a polskiego nie lubią, pomimo że Polacy ich mienie wykupują z rąk żydowskich i budują dla nich kościoły. Wśród takiej ludności trudno dotrzymać placu wobec przewagi wiary i krzyżów, jakie stoją przy drogach w Hermanowicach i Nehrybce, tuż pod samym Przemyślem.

A jednak dla naszej pociechy przemawiają historyczne zabytki, że okolica tutejsza przed stu laty była polską. Mamy górę, na której ongi stał kościół, i dotąd sami Rusini nazywają ją „Kościołem“. Za tym jest duża płaszczyzna, na której była wieś polska, dotąd zwana Siedliskami, a grób wielki za dworkiem p. Jaworskiego na górze świadczy o wielkiej wojnie w tej okolicy, dziś zruszczonej i germanami zaszczepionej. *Videant consules!*

Ks. M. B., proboszcz.

Stan powietrza. T. o 8 rano + 8° R. w poł. + 14° R. Bar. 766. Spada. Prześliczna pogoda.

Z góry się zastrzegł.

— Ach dzień dobry, kochany przyjacielu, jakże ci się powodzi?

— Dziękuję, wybornie, ale nie mam przy sobie pieniędzy.

Teatr. Dziś we czwartek „Jak wam się podoba“, komedya w 5 aktach W. Szekspira, występ pani Heleny Modrzejewskiej. W piątek „Wiele hałasu o nic“. W sobotę „Makbet“. W niedzielę po południu „Dom waryatów“, wieczorem „Król duchów tatrzańskich czyli miłość wszystko może“. W poniedziałek „Jak się wam podoba“. We wtorek „Flirt“, komedya w 4 aktach Michała Bałuckiego, z panią Stachowicz w głównej roli. We środę „Marya Stuart“. We czwartek „Panna mężatka“, komedya J. Korzeniowskiego.

Literatura i Sztuka.

* **Jedyny koncert** najznakomitszej primadonny teatrów włoskich Gemmy Bellincioni i słynnego tenora Roberta Stagno, odbędzie się we Lwowie w sali Domu narodnego dziś we czwartek dnia 15 bm. Program składa się z utworów Webera, Ponchiellego, Mascagniego i Verdiego; p. Bellincioni doda ponad program utwór kompozytora polskiego. Gemma Bellincioni występowała z nadzwyczajnem powodzeniem we wszystkich stolicach europejskich; jest to siostra artystki, która w jednym z ostatnich sezonów operowych wchodziła w skład personalu opery lwowskiej. Jedyny koncert we Lwowie, z początku naznaczony na niedzielę 18, odbędzie się dziś 15 bm.; bilety sprzedane z datą 18 ważne są na koncert dzisiejszy. Bilety do nabycia w księgarniach Seyfartha i Czajkowskiego i Altenberga. Pani Bellincioni i Stagno koncertowali w Krakowie z olbrzymiem powodzeniem. Dzienniki tameczne jednogłośnie podnoszą mistrzowskie zalety śpiewu wielkiej artystki.

SPORT.

Z torów zagranicznych.

Donosiliśmy swego czasu, że koń francuski, ogier gniady 4letni „Callistrate“, był drugim w jednym z najznaczniejszych biegów jesiennych w Anglii „Cesarewitch Stakes“. Ten sam „Callistrate“ biegał w Paryżu dnia 7 października rb. w biegu o nagrodę rady miejskiej 100.000 franków i znowu był drugim. Wygrał koń angielski „Best Man“, biegało koni trzynaście. Tak jak w pierwszej połowie roku najważniejszym biegiem we Francyi jest „Grand Prix de Paris“, tak od roku zeszłego rada miejska paryska stworzyła na jesień poważną nagrodę „Prix du conseil municipal“. Widocznie rada miejska w Paryżu umie oceniać ogromne korzyści, które miasto odnosi ze zjazdów wyścigowych, przy których mnóstwo pieniędzy w mieście zostaje. Oby ten przykład chciały naśladować inne rady miejskie, oczywiście w miarę możności.

* * *

„Callistrate“ biegał też później w Anglii dnia 24 października w jednym z najznaczniejszych w jesieni biegów „The Cambridgeshire Stakes“ i był trzecim, zaś dnia 26 października wygrał puhar Jockey Clubu.

* * *

Zakupiony do Austryi na reproduktora ogier gniady 3letni „Matchbox“ biegał dnia 23 października w New Market w Anglii w biegu „The Lonekiln Stakes“ i między trzema końmi był trzecim. Dzienniki sportowe austryackie po tej przegranej poczęły były utyskiwać, że cena 18.000 gwinei, zapłacona za niego, jest przecież za wysoką, jak za konia, który w tak podrzędnym biegu został haniebnie pobity. Później okazało się, że był kulawy wskutek zagwożdżenia i oczywiście nie mógł wygrać.

* * *

W numerze 248 z d. 28 października doniósł *Przegląd* w kronice o oszustwie, popełnionem na wyścigach kłusowych w Berlinie, Altonie itd.

P. Kneebs, Amerykanin, puszczał w wyścigach kłusowych klacz pod nazwiskiem „Lady Kneebs“, która z wielką przewagą wygrywała. I tak naprzykład w Berlinie na torze Weissensee w dwóch dniach wygrała 2650 marek. Oskarżono właściciela, że owa klacz biegała pod fałszywem nazwiskiem, a naprawdę nazywa się „Bethel“ i już wygrywała dużo w Ameryce. P. Kneebs, majętny farmer w stanie Nebraska, przyznaje, że jest właścicielem klaczy „Bethel“, równie gniadej bez odmian, jak ta, która pod nazwiskiem „Lady Kneebs“ biegała w Niemczech; utrzymuje jednak, że owa „Bethel“ znajduje się w jego farmie w Ameryce. Zarazem proponuje, żeby klacz „Bethel“ i 28 świadków, którzy jej tożsamość poświadczyć mają, na koszt państwa sprowadzić z Ameryki.

Trybunał wobec ogromnych kosztów, któreby spowodowało sprowadzenie klaczy i tylu świadków, odniósł się do ministeryum sprawiedliwości, i podobno ma być na koszt państwa tamta klacz „Bethel“ sprowadzoną z Ameryki, również dwóch tylko świadków; zaś ta, która biegała pod nazwiskiem „Lady Kneebs“, już od czterech miesięcy jest utrzymywana kosztem państwa, a jej właściciel siedzi w więzieniu.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 13 listopada.

(*Z.*) Po wczorajszej zniżce nastała dziś znów haussa na całej linii. Berlińska kontrmina bowiem nie czuje się na siłach prowadzenia dalej kampanii przeciw naszym walorom i sprzedaże jej ustały, a także finansowe pisma berlińskie zmieniły dziś nieprzyjaźny ton przeciw naszej giełdzie i ostrzegały tylko przed zbyt wybujałą spekulacyą. To zaniechanie kroków nieprzyjacielskich przez finansistów berlińskich uwolniło naszą giełdę od najważniejszej troski, a do tego wiele motywów politycznych podniecało spekulacyę. Okólnik ministra Giersa do ambasadorów rosyjskich wywarł na giełdach jak najlepsze wrażenie, tak dalece, że nawet zgryźliwa i pessymistycznie usposobiona giełda berlińska powitała go zwyżką kursów, nadto jest jeszcze inna ważna oznaka znakomitego polepszenia się stosunków między Rosyą a Niemcami. Oto od kilku dni napływa z Petersburga dużo złota rosyjskiego do Berlina. Jakoż wczorajsze zniżki kursowe zostały w zupełności powetowane. Z Nowego Yorku nadeszło dziś doniesienie, że rząd Stanów Zjednoczonych zamierza zaciągnąć pożyczkę 100 milionów dolarów, z tego połowę w kraju, a połowę w Europie. Byłaby to, od czasów amerykańskiej wojny domowej, pierwsza pożyczka, którą Stany Zjednoczone zaciągają w Europie.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 391·50, węgierskie 495·50, Angiobanki 180·75, Uniony 300·—, Bankvereiny 151·70, Länderbanki 279·40, Ludwiki 217·15, Czerniowieckie 287·50, Elbethale 276·25, Renta papierowa 100·—, srebrna 100·—, austryacka złota 124·60, 4% austr. renta wal. kor. 99·55, węgierska złota 123·30, 4% węgierska renta wal. kor. 97·40, dukat 5·92—, 20-frankówka 9·94—, marki 12·23—, ruble 1·36½.

Wiedeń 13 listopada. Spirytus 15·50—15.70.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 15 listopada (*Rada państwa*). Na wczorajszem posiedzeniu toczyła się dalej debata jeneralna nad skróconem postępowaniem przy obradach nad reformą procedury cywilnej.

P. Kronawetter przemawiał przeciw skróconemu postępowaniu, gdyż ono jest naruszeniem praw politycznych. Nadto oświadczył mówca, że ludność nie ma zaufania do zarządu sprawiedliwości.

Minister sprawiedliwości hr. Schönborn bronił przedłożenia i odparł stanowczo zarzut Kronawettera, jakoby ludność nie miała zaufania do zarządu sprawiedliwości. Właśnie po wprowadzeniu sądów rozjemczych okazało się, że lud zawsze z ufnością zwraca się tylko do sądów państwowych. Postępowanie skrócone przy obradach nie jest bynajmniej skierowane przeciw opozycyi, lecz przeciw naszemu wspólnemu wrogowi, tj. przeciw przewlekaniu wszelkich spraw. Zresztą najwyższem prawem parlamentu jest to, iż może sam sobie uchwalać ustawy i formę obrad nad niemi (Oklaski). Imieniem rządu zapewnia minister, że dzisiejsze prawo stron spór wiodących posługiwania się wobec sądu językiem krajowym żadnej nie dozna zmiany. Główną wagę kładzie rząd na to, ażeby postępowanie sądowe było szybkie i tanie; to też w miarę potrzeby będzie liczba sądów znacznie powiększona i personal ich wzmocniony.

Żądanie urzędników dziewiątej rangi polepszenia ich awansu nie jest niesłusznem, to też rząd będzie musiał liczyć się z niem. Minister przyznaje, że postępowanie skrócone wymaga od posłów pewnych ofiar, wszelako nie uznaje tego, żeby przez nie miała ucierpieć gruntowność obrad, gdyż punkt ciężkości tych obrad leży nie w debacie szczegółowej w plenum izby, lecz w dyskusyi komisyjnej. Minister nie myśli wcale zaprzeczać prawom, jakie przysługują plenum izby, jednakże w tym wypadku jest rozwlekła debata szczegółowa wprost niemożliwa; nieprawdą jest wszelako, jakoby przez to odjęte zostało izbie prawo ostatecznej decyzyi. Izba bowiem przyjmując niniejszy projekt w całości, albo też odrzucając go, wykonuje tem samem najważniejsze swoje prawo. Oby rezultat przeprowadzić się mającej dyskusyi wstępnej był taki, żeby izba mogła powiedzieć stanowczo: „Przyjmuję ten projekt.“ (Huczne oklaski.)

Reprezentant rządu, młody, dopiero niedawno do ministeryum powołany, radzca Klein w pięknej i nader gruntownej mowie wykazywał zalety procedury, opartej na zasadzie ustnego, bezpośredniego postępowania i na zakończenie wskazał na to, że nasza judykatura prawna potrzebuje koniecznie korzystniejszych warunków życia, gdyż są już pewne oznaki, wskazujące na to, że może cały rozwój procedury rozpocznie się od powrotu do dawnego okresu, do owej organizacyi ochrony prawnej, gdzie każdy sam swoich praw dochodził, a niechajby ta nowoczesna samopomoc nazywała się tylko sądem rozjemczym.

Mowa p. Kleina, odznaczająca się wielką erudycyą i wiadomością fachową wywołała w całej Izbie sensacyę i huczne oklaski. Ministrowie i wielu posłów gratulowało mówcy.

Zabierali jeszcze głos pp. Goetz, Pacak i Piniński, który oświadczył, że Koło polskie jest stanowczo za tą reformą. Przykrą to wprawdzie jest rzeczą, — ograniczać swobodę słowa, wszelako w tym wypadku jest to konieczne. W dalszym toku wykazywał mówca zalety postępowania ustnego i bezpośredniego i przyznania sędziom swobodniejszego pola działania i zapowiedział, że Koło polskie, zastrzegając sobie wszelką swobodę działania przy ostatecznej decyzyi, wniesie kilka poprawek.

Na tem zamknięto debatę i wybrano mówcami jeneralnymi p. Bareuthera contra, a p. Morseya pro.

Następne posiedzenie izby odbędzie się w sobotę.

Wiedeń 15 listopada. Wczoraj odbyła się w mieszkaniu dra Piętaka narada posłów z okręgów miejskich nad reformą wyborczą. Pp. Lewakowski, Piętak, Weigel, Hofmokl i Roszkowski użalali się, że tylko kilku członków Koła porozumiewa się z rządem i z innymi klubami i występuje tak, jakoby działało w imieniu całego Koła. P. Jędrzejowicz usprawiedliwiał postępowanie prezydyum Koła. Dotychczasowe rokowania z rządem mają charakter ściśle poufny. Rząd nie chce popełnić takiego błędu jak Taaffe, t. j. wnieść przedłożenia bez poprzedniego porozumienia się ze stronnictwami i dlatego chce prywatnie wybadać ich opinię. Zaproszono więc naprzód przywódzców klubów, następnie komisyę parlamentarną, a potem członków komisyi dla reformy wyborczej. Jest to całkiem naturalne, gdyż jeżeli koalicya ma się utrzymać, to muszą ustalić się zapatrywania przywódzców klubów wchodzących w jej skład. Wreszcie prosił mówca zebranych, aby wypowiedzieli swoje zdanie o reformie.

P. Lewakowski oświadczył się za powszechnem prawem głosowania, i nie podziela obawy, jakoby w takim razie socyaliści zagarnęli wszystkie mandaty miejskie, a że Rusini mogą się wzmocnić, to nic nie szkodzi, gdyż wzmocni się tylko ruska partya narodowa, a moskalofile znikną z widowni.

P. Rutowski oświadczył się za rozszerzeniem prawa wyborczego, ale przeciwko powszechnemu głosowaniu. W podobnym duchu przemawiał także p. Lewicki. — P. Rutowski skonstatował, że z wyjątkiem p. Lewakowskiego wszyscy zresztą obecni są przeciwni powszechnemu prawu głosowania. W końcu oświadczył p. Jędrzejowicz, że zapowiedziana na dziś konferencya mężów zaufania z ministrami nie odbędzie się, ażeby całe Koło polskie przedtem mogło zastanowić się nad reformą wyborczą i wypowiedzieć swą opinię.

Londyn 15 listopada. Burza zrządziła w całej Wielkiej Brytanii ogromne szkody. Obawiają się, że bardzo wielu ludzi zginęło. W Dower rozbiła się wczoraj barka norwezka, przyczem utonął kapitan i wielu majtków. Komunikacya kolejowa jest w wielu miejscach przerwana.

Sofia 15 listopada. Książę Ferdynand przyjmował wczoraj deputacyę, która wręczyła mu adres sobrania. W przemowie swej zapewnił książę, że jest wielce zadowolniony z tego, iż sobranie pochwala politykę wewnętrzną rządu, nadto rzekł książę, że aprobuje w zupełności to wszystko, co Stoiłow powiedział o polityce zagranicznej.

Wiedeń 15 listopada. *Wiener Zeitung* ogłasza nominacyę radzcy dworu Goessa kierownika rządu krajowego na Bukowinie bukowińskim prezydentem kraju.

Przeciw decyzyi ministerstwa spraw wewnętrznych, zatwierdzającej orzeczenie namiestnictwa lwowskiego, zabraniające towarzystwu „Machsike Hadas“ zakładać prywatne domy modlitwy, wniosło to towarzystwo zażalenie do trybunału państwowego, który rozpatrywał tę sprawę wczoraj i orzekł, że przez ów reskrypt ministerstwa prawa polityczne nie zostały naruszone.

Paryż 15 listopada. Dzienniki tutejsze donoszą o uwięzieniu pod zarzutem szpiegostwa dwóch pozasłużbowych oficerów niemieckich. *Eclair* donosi, że jeden z tych oficerów nazywa się Schoenbeck, a drugi Cassel i że u Schoenbecka, tudzież u dwóch skompromitowanych w jego sprawie kobiet i jednego Francuza nie znaleziono nic podejrzanego, natomiast u Cassela miano znaleźć dokumenta, z których okazuje się, że był on szpiegiem.

Glasgow 15 listopada. Rosebery miał wczoraj mowę, w której zapowiedział, że rząd na najbliższej sessyi wniesie projekt ustawy o rozdziale Kościoła od państwa w Walii i Szkocyi, wszelako w pierwszej linii zajmie się uporządkowaniem stosunku obu izb parlamentu i zapewnieniem przewagi izby gmin.

Nadesłane.

Lwów dnia 15 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 217·— do 219·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 286.50 do 288.50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 440·— do —·—

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·10 do 101·80, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70, Banku krajowego 4½% los. w 31 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 96·50 do 97.20. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 97·80 do 98·50. 4% los. w 41½ los. 97.40 do 98·10, 4% los. w 56 latach 96·70 do 97·40. 4½% las. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96.80 do 97.50. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 101·70 do —.— Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·— do 102·70, Pożyczki krajowej 6% 103·50 do —·— 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·— do 96·70 4% z roku 1893 96 — do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·85 do 5·95 Napoleondor 9·86 do 9·96, Półimperyał 10·15 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.35 —do 1.38 —. 100 marek niemieckich 60·90 do 61·30

61)

VERA

przez *Florencyę Marryatt.*

(Ciąg dalszy).

Nie zdawała się zwracać wiele uwagi na pył węglany unoszący się nad statkiem obłokiem czarnej sadzy. Inne siostry miłosierdzia, niemające z nią nic wspólnego, gdyż miejscem ich przeznaczenia był Madras, zeszły do dolnych kajut, aby ochronić niepokalaną białość swoich kornetów, a oficerowie zaczęli doradzać „małej siostrzyczce", jak ją nazywano między sobą, aby poszła za przykładem swoich towarzyszek. Ale ona, obojętna na wszystko, co się działo dokoła, wytrwała na pomoście, zatopiona w książce i we własnych myślach, aż dopóki słońce nie zaczęło się chylić ku zachodowi, a czółna, odwożące napowrót pasażerów, nie pojawiły się znowu na falach. Niektóre z nich wiozły nowych gości z załogi uszkodzonego parowca. Vera przypatrywała się tym obcym twarzom, na których malował się pewien niepokój i wyczekiwanie, i znajomym postaciom, jakby odświeżonym krótką wycieczką na stały ląd, i przechylona przez poręcz śledziła z pewnem zajęciem urozmaicony widok napływającego tłumu, gdy naraz uwagę jej zwróciło czółno napełnione pakunkami i podróżnymi tobołkami, w którem znajdowała się jedna tylko angielska piastunka z dziecięciem na ręku.

Chłopczyk, mogący mieć dwa lata co najwyżej, odrazu wpadł jej w oczy, gdyż Vera namiętnie lubiła dzieci; to też nie mogła oderwć wzroku od tej jasnej, pozłocistej główki, figlarnie wyglądającej z pod białego toczka. Piastunka, ubrana bogato, jak przystało na sługę magnackiego domu, daleko więcej zdawała się zwracać uwagi na swą jedwabną spódnicę, niż na małego wychowańca, a unosząc fałdy sukni do góry, aby je uchronić od zetknięcia z wodą, tak nieostrożnie stąpała po śliskim pomoście, iż zachwiała się i byłaby razem z dzieckiem upadła na ziemię, gdyby Vera nie była poskoczyła, aby ją podtrzymać.

— Bardzo panience dziękuję — rzekła nieznajoma, przypatrując się z impertynencką ciekawością szaremu habitowi zakonnicy. — Nie wiadomo jak chodzić po tych szkaradnych okrętach... A ty, malcze, przestań mi zaraz wrzeszczeć — dodała ze złością, potrząsając chłopczykiem, który zaczął płakać ze strachu. — Muszę dopilnować, ażeby mi nie zatracili którego z kuferków twojej mamy, i jeżeli nie uspokoisz się zaraz, to cię postawię na ziemi i kominiarz cię zabierze.

— Niech mi pani pozwoli potrzymać maleńkiego — prosiła Vera, wyciągając ręce do dziecka.

— A i owszem, jeżeli tylko zechce pójść do panny, bo bęben uparty i niełatwo przystaje do obcych... No, Totusiu, dość już tego, bo się będę gniewać.

— Ile było wszystkich pakunków?— zawołał jeden z posługaczy.

— Siedmnaście, zdaje mi się; nie, nie liczyłam trzech koszyków. Zaraz zobaczę... mam tu zapisane... Ach, żeby ten nieznośny malec chciał mnie puścić!... No, masz panna, potrzymaj go chwilę.

To mówiąc, bez ceremonii rzuciła dziecko w wyciągnięte objęcia Very i zajęła się przeszukaniem swoich kieszeni.

— Totusiu, aniołeczku mój złoty, nie płacz! — prosiła Vera najsłodszym głosem, a dziecko uspokoiło się odrazu i zwróciło na nią ciekawie dwoje wielkich, prześlicznych oczu. Ach, co to były za oczy! jakie jasne, przeczyste, błękitne jak niebo. Vera nigdy u nikogo nie widziała podobnych, tylko raz... raz jeden w życiu. Sama nie wiedziała w pierwszej chwili, dlaczego to dziecięce spojrzenie poruszyło ją aż do głębi duszy, dlaczego coś silnie szarpnęło się w jej piersi pod zakonnym habitem?... Później zrozumiała... i spazm wznowionego bólu przeszył jej biedne serce, które chciało, ale nie mogło zapomnieć.

— Niania powróci zaraz, Totusiu — mówiła drżącemi usty, tuląc dziecinę do siebie i przechadzając się z nią po pokładzie.

Ale łezki Totusia obeschły już zupełnie i twarzyczka rozweseliła się wyrazem zadowolnienia, a gdy piastunka, załatwiwszy się z pakunkami, powróciła za chwilę, zastała swego małego wychowańca zajętego ciekawem przyglądaniem się białemu kornetowi Very i przebieraniem paciorków jej różańca.

— A to coś nadzwyczajnego! — zawołała, przystając ze zdziwienia — Myślałam, że będzie krzyczał przez cały czas, a on bawi się tu w najlepsze... Nie wie też panna przypadkiem, gdzie jest nasza kajuta? Już nóg nie czuję pod sobą, tak jestem zmordowana i chciałabym malca coprędzej zapakować do łóżka, żeby sobie odpocząć. Potem, jak pani moja przybędzie na okręt, to wszystkich zaprzątnie dokoła swojej osoby i człowiek nie będzie mógł nawet odetchnąć.

— Pokojowa wskaże pani drogę — rzekła Vera. — Znajdziesz ją pani na dole. Ja nie mogę tam iść, bo przystęp wzbroniony jest pasażerom trzeciej klasy. Dobranoc, bobusiu! Mam nadzieję, że ci się będzie dobrze spało.

— A niechże też śpi, bo inaczej to pan nasz całą noc będzie przylatywał co chwila, dopytując się, co mu jest. No, odbierz mu panna te paciorki, bo ci je rozsypie. A ty, utrapiony dzieciaku, nie zaczynaj się drzeć nanowo, bo mi już cierpliwości brak...

Pochwyciwszy z rąk jej opierającego się Totusia, znikła z nim razem na schodach, a Vera długo oczyma pogoniła za dzieckiem, potem zwolna zeszła na dół do dusznej swej kajuty i tam rozpłakała się cicho.

Bo choć usiłowała wmówić w siebie, że przeszłość została pogrzebaną, że zwalczyła wszystkie bóle swoje serdeczne i tęsknoty, że stłumiła wszystkie porywy duszy i bezowocne pragnienie szczęścia, silne wzruszenie, jakie przed chwilą wstrząsnęło jej nerwami na widok tych błękitnych, dziecięcych ocząt, przekonało ją, że łudziła się tylko i że miłość dla Gordona Romilly króluje dotąd niepodzielnie w jej sercu.

ROZDZIAŁ XIV.

Vera przebudziła się nazajutrz z myślą o błękitnookim chłopczyku i ubrawszy się pośpiesznie, pełna oczekiwania weszła na pokład.

Tu niespodziewany widok uderzył jej oczy. Wielu z pasażerów pierwszej i drugiej klasy, chcąc uniknąć dusznej atmosfery natłoczonych kajut, przeniosło nocne legowisko swoje na otwarte powietrze, tak, że cała podłoga zasłana była matami, materacami i wojłokami, na których mężczyźni i kobiety, nawpół rozebrani, spoczywali pogrążeni w śnie.

Vera odwróciła się ze wstrętem od rozespanych oczu i ziewających głośno ust i rada była, gdy służba okrętowa rozpoczęła zwykłe porządki, zmuszając tem samem nieproszonych gości do opuszczenia stanowiska. Usiadła na uboczu, w pobliżu schodów wiodących w głąb okrętu i wkrótce wśród gromadki piastunek i dzieci ujrzała znajomą sobie z dnia poprzedniego, niosącą na ręku Totusia. Kobieta, ku wielkiej jej radości, poznała ją odrazu i podeszła do niej.

— A toś panna wcześnie wstała! — rzekła. — Myślałam, że wszyscy jeszcze śpią. Co za noc miałam, to niech ręka Boska broni! Cztery osoby, oprócz dziecka, w jednej ciasnej kajucie, a z tych dwie chore i stękające, jakby pierwszy raz były na morzu. Uciekłam z tej dziury jak się tylko dało wymknąć.

— To bardzo przykre — odparła Vera, której obie dłonie splecione już były z paluszkami dziecka. — A maleńki, czy dobrze spał?

— A byłby spał, gdyby mu ojciec nie był przeszkadzał — rzekła kobieta. — Ale nasz pan tak się troszczy o to dziecko, że niech się jeno poruszy w kolebce, zaraz biegnie patrzeć, czy mu co nie jest i już nam służbie spokoju nie daje. Mylady przeciwnie, nic jej nie obchodzi, tylko to, co dotyczy jej osoby. Jak się malec rozwrzeszczy i przeszkadza jej, to napada na mnie, jakbym ja co temu winna. Dobrana para, nie ma co mówić... Żebym była wiedziała, co mnie tu czeka, to za żadne skarby nie byłabym się dała nakłonić do pojechania z nimi. Cała pociecha, że to tylko na rok.

— To ci państwo tylko na rok udają się za granicę? — zapytała Vera, która już trzymała Totusia na ręku i pozwalała mu się swobodnie bawić ze zwieszonym u swego paska kokosowym różańcem, zakończonym mosiężnym krzyżykiem.

— Nie umiem pannie powiedzieć. To wiem tylko, że zgodzili mnie na rok i że zdaniem mojem i to za długo, aby tam przebywać wśród tych dzikich pohańców.

Vera westchnęła cicho. Ona poprzysięgła sobie, dla zjednania miłosierdzia Bożego nad grzesznikiem, życie całe spędzić wśród pogan, a choć nie żałowała swego postanowienia, ciężko jej było dotąd pogodzić się z tą myślą.

— Dokądże udają się ci państwo? — zapytała spokojnie.

— Do jakiegoś tam mieściska w Chinach; zapomniałam jak się nazywa. Nie rozumiem, co strzeliło do głowy naszemu panu, który miał własny pałac w Londynie i wszystko czego dusza zapragnie, a spokrewniony był i przyjaźnił się z całą arystokracyą kraju, że naraz rzucił to wszystko i zapragnął obrać sobie mieszkanie wśród murzynów. Zachciało mu się zmiany; nic więcej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski.

Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Bielsku.

Z drukarni zak. W. Manieckiego, pod Zarządem W. Hadak.